

GORAN VOJNOVIĆ

MOJA JUGOSŁAWIA



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

MOJA
JUGOSŁAWIA

GORAN VOJNOVIĆ

MOJA
JUGOSŁAWIA

przełożyła
Joanna Pomorska

Tytuł oryginału: *Jugoslavija, moja dežela*

Wydanie polskie na podstawie: Beletrina Academic Press, Ljubljana 2012

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Andrzej Chrzanowski

Redakcja merytoryczna i korekty

Magdalena Petryńska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Prevod je izšel s podpora Javne Agencije za Knjigo Republike Slovenije

Wydanie książki wsparła finansowo JAVNA AGENCIJA ZA KNJIGO Republiki Slovenii

Copyright © Beletrina Academic Press, Ljubljana 2012; www.beletrina.com

Copyright for the Polish translation by Joanna Pomorska

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
Warszawa 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-082-0

ISBN 978-83-7963-083-7 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

Barbarze

1

Moje dzieciństwo skończyło się nagle pewnego zwykłego dnia 1991 roku wczesnym latem. Było parno, dorośli już od samego rana z utęsknieniem czekali na popołudniową burzę, a my, dzieci, dziwiliśmy się, dlaczego ci wszyscy ludzie, którzy w ogródkach na Šijanie nie mieli pomidorów i cukinii, potrzebują deszczu w sezonie kąpielowym. Bo nasz świat był wtedy całkiem inny niż świat naszych rodziców, uważaliśmy, że dorośli to istoty z innej planety, interesujące tylko wtedy, gdy nie mają rąk albo nóg, zapuszczają włosy albo brody do ziemi, ubierają się jak Indianie, mają wytatuowane plecy albo umięśnione bicepsy jak John Rambo I, II i III.

Jednego z takich atrakcyjnych dorosłych chcieliśmy obejrzeć tamtego upalnego poranka. Mario i Siniša za nic nie mogli uwierzyć, że jeszcze nie widziałem typa z czerwoną naroślą na twarzy. Niektórzy twierdzili, że to ogromny guz na mózgu, inni byli przekonani, że to bulimia, jakaś nowa choroba, o której mówili już w telewizji i która, jak dowodził Siniša, podobno zmienia powoli człowiekowi głowę w wielką czerwoną bulę. Do tej pory typa z bulą widzieli wszyscy oprócz mnie, zapewniał Mario, a Siniša zaczął wyliczać po

kolei historyjki z owym typem w roli głównej. No więc, zapewnił największy pleciuch w Puli, kiedyś na Vidikovcu jakaś niemiecka turystka zszokowana jego widokiem zaczęła iść tyłem i doszła aż do swojego hotelu na Verudeli, a jakaś włoska rodzina podobno zawiadomiła o jego istnieniu milicję i ambasadę włoską w Belgradzie. Obaj, Mario i Siniša, przekonywali mnie, że muszę zobaczyć tego człowieka, bo tylko połowę głowy ma normalną, a druga, jakby ją ktoś nadmuchał, jest czerwona i wygląda jak przekrojony arbuz albo piłka do koszykówki.

Nie musieli mnie długo namawiać, wkrótce wszyscy trzej maszerowaliśmy w kierunku hotelu robotniczego po drugiej stronie ulicy Vitezicia. W tym otynkowanym na biało i okropnie nudnym budynku o kształcie prostopadłościanu oprócz typa z naroślą zakwaterowano głównie robotników ze stoczni Uljanik, którzy po ciężkiej pracy całymi popołudniami wysiadali przed wejściem, pili swoje piwa nikšićkie i sarajevskie, międlili jakieś swoje bośniackie tematy. Chociaż mieszkali tuż obok, za rogiem naszych bloków, żyli jakby w równoległym, prawie niedostrzegalnym dla nas świecie, kumpłowali się praktycznie tylko między sobą, a wieczorami we wspólnej sali na parterze oglądali w telewizji dziennik, transmisje meczów piłkarskich albo jakiś jugosłowiański serial.

Ale w ciągu dnia – tak po drodze wyjaśnili mi moi świetnie zorientowani przyjaciele – przed telewizorem wysiadawał zwykle tylko typ z naroślą i od wczesnego rana, nie ruszając się z miejsca, oglądał TV Zagrzeb, od serialu *Smogovci* po programy dokumentalne, które prezentował legendarny Đelo Hadžiselimović. Podobno, opowiadał Siniša, mieszkańcy hotelu zebrali pewnego razu kasę, kupili mały przenośny telewizor i zainstalowali w jego pokoju, ale facet i tak codziennie siedział bez przerwy we wspólnej sali, choć nigdy z nikim nie rozmawiał. Podobno, dorzucił Mario, spawacz Vaha kiedyś co dziesięć minut zmieniał mu przed nosem kanał, a typ nawet nie drgnął, jakby mu było dokładnie wszystko jedno, co ogląda.

Po wysłuchaniu tych historyjek stanąłem przed wejściem do hotelu robotniczego z wielkimi oczekiwaniami, czułem się prawie tak jak wtedy, gdy dzień przed premierą wybraliśmy się wieczorem w okolice stadionu Istry, gdzie rozstawiono namiot cyrkowy, bo chcieliśmy po kryjomu obejrzeć próby artystów, ale zanim udało nam się doczołgać w wysokiej trawie i zajrzeć do środka, przestraszyła nas głośnym krzykiem mała Cyganka, a my trzej, duzi chłopcy, rzuciliśmy się do ucieczki przed tą drobną czarną istotką i zatrzymaliśmy się dopiero przy centrum sportowym Pattinaggio.

Ale tego dnia w hotelu robotniczym trafiliśmy na sytuację, która nie mogła się bardziej różnić od tej, jaką spodziewaliśmy się zastać. W małej sali zamiast samotnego typu z naroślą był tłum. I wszyscy gapili się w telewizor, a tam, przynajmniej na to wyglądało, leciały wiadomości. Atmosfera przypominała tę sprzed roku, kiedy po drugim голу, który strzelił Piksi w czasie niezapomnianego meczu z Hiszpanią w jednej ósmej mistrzostw świata, mieszkańców hotelu ogarnął tak wielki entuzjazm, że musiała ich uspokoić milicja, a niejaki Ramo wylądował na oddziale ratunkowym w szpitalu, bo kopnął go prąd, kiedy całował telewizor i antenę.

Dwanaście miesięcy później Siniša, Mario i ja, szukając człowieka arbuza w tłumie kibiców południowego wydania dziennika telewizyjnego, stwierdzaliśmy z zaskoczeniem, że Socjalistycznej Federacyjnej Republice Jugosławii kibicuje tylko niewielka część zgromadzonej ekipy. Większości, co było widać jak na dłoni, nieoficjalnie przewodził Milo Lola Ribar, który codziennie potrafił przydzwigać jedną albo dwie skrzynki piwa, a teraz wydierał się głośniejszym niż inni: pieprzyć taką Jugosławię, w ubiegłym roku przerznąła z argentyńskimi ustaszami, więc ma ją gdzieś. Koło niego, tuż przed telewizorem, stał Mały Mirso, szesnastolatek, który wyglądał doroślejszym niż Bata Živojinović i tak też się zachowywał, całkiem serio groził wszystkim zebranym, że koniec z opalaniem się na plaży, z Ferragosto i ogniami sztucznymi w amfiteatrze, na który w Puli mówi się Arena. Ale nie powiedział dlaczego. W sali